

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

COLE

Gdy byłem wilkiem, bieganie nie sprawiało mi żadnych trudności. Każdy mięsień wilczego ciała był do tego przystosowany, części organizmu współpracowały, gwarantując płynny, bezustanny ruch, a zwierzęcy umysł nie pojmował koncepcji zmęczenia po długim wysiłku. Biegałem tak, jakbym nigdy nie miał się zatrzymać – dopóki nie dotarłem do miejsca przeznaczenia.

Jako człowiek czułem się powolny i niezdarny. Moje stopy były bezużyteczne w tym błocie, które lepiło się do nich tak nachalnie, że co chwile musiałem je strząsać, żeby móc iść dalej. Gdy dotarłem do celu, brakowało mi tchu, a kolana bolały od wbiegania pod górę. Ale nie miałem czasu na uzalanie się nad sobą. Wiedziałem mniej więcej, czego potrzebuję z szopy, o ile na miejscu nie wpadnę na lepszy pomysł.

Otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka. Rzeczy, które wcześniej uważałem za nieskończenie praktyczne, teraz wydały mi się kompletnie zbędne. Pojemniki z ubraniami. Pudła z jedzeniem. Butelkowana woda. Telewizor. Koce.

Zrywałem pokrywki z kolejnych pojemników, szukając potrzebnego sprzętu: jakiegoś kabla, sznura, liny do skoków bungee, zwiniętego w kłębek pytona królewskiego. Czegokolwiek, do czego mógłbym przymocować pojemnik, żeby zamienić go w swego rodzaju windę do transportu wilków. Ale w szopie nie przechowywano niczego takiego. To było swoiste przedszkole dla wilkołaków. Przekąski na podwieczorek i kocyki do leżakowania.

Zakląłem w pustkę.

Może powinienem był zaryzykować i wrócić do domu po drabinę? Pomyślałem o Samie, trzęsącym się z Imna w tamtej jamie, z Grace w ramionach.

Przed oczami błysnęło mi wspomnienie: zimne ciało Victora na dnie dołu; przysypująca go ziemia. Cholerny umysł płatał mi figle – Victor był przecież zawinięty w prześcieradło, kiecy go pochowaliśmy – ale pomogło. Nie zamierzałem grzebać Sama, a z nim kolejnego wilka. A zwłaszcza Grace.

Jeśli chodzi o Sama i Grace, i fakt, że chłopak nie potrafił bez niej funkcjonować, to zaczynałem już powoli rozumieć, na czym to polegało. To był ten rodzaj miłości, który istniał wyłącznie wtedy, gdy były obecne obie połówki. Gdyby jedna strona równania odeszła, umarła lub jej okazała się nie tak doskonała, jak się wydawało, to uczucie zamieniłoby się w najbardziej tragiczną i żalostną historię miłosną wszech czasów, śmiechu wartą w swojej niedorzeczności. Bez Grace Sam był po prostu jak żart bez pointy.

„Myśl, Cole. Jaka jest logiczna odpowiedź?”

Głos mojego ojca.

Zamknąłem oczy, wyobraziłem sobie boki jamy, Grace, Sama, mnie na górze. Proste. Czasami najprostsze rozwiązania są najlepsze.

Otworzyłem oczy, złapałem dwa pojemniki i wyrzuciłem ich zawartość na podłogę pomieszczenia. Zostawiając wszystko poza ręcznikiem. Włożyłem jeden pojemnik w drugi, wrzuciłem do środka ręcznik, a pokrywy wepchnąłem pod pachę.

Wygłądało na to, że najlepszą bronią w moim życiu zawsze były rzeczy najbardziej nieszkodliwe: puste plastikowe pojemniki, puste płyty CD, nieoznaczone strzykawki, mój uśmiech w ciemnym pokoju.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi szopy.

GRACE

Byłam martwa, unosiłam się w wodzie głębszej niż ja i szerszej niż ja.

Byłam

bulgoczącym oddechem
gliną w moich ustach
ciemnością przed oczami
momentem
potem jeszcze jednym
a potem byłam
Grace
Unosiłam się w wodzie zimniejszej niż ja i silniejszej niż ja.
„Pozostań przytomna”.
Ciepło jego ciała szarpało moja skórę
rozrywało ją
„Proszę, jeśli potrafisz mnie zrozumieć”.
byłam wyrócona na lewą stronę
wszystko było żółte, złote, rozmazane na mojej skórze
„Pozostań przytomna”.
ja
byłam
przytomna
ja
byłam

COLE

Kiedy wróciłem, w jamie panowała upiorna cisza. Z jakiegoś powodu prawie spodziewałem się, że znajdę już tylko ich martwe ciała. Kiedyś wykorzystałbym to uczucie i napisałbym o nim piosenkę, ale tamte czasy już dawno minęły.

Jednak oni żyli. Sam podniósł na mnie wzrok, kiedy zbliżyłem się do krawędzi otworu. Włosy miał w nieładzie, który w normalnej sytuacji szybko skorygowałby dłonią, ale oczywiście teraz nie miał wolnych rąk. Trząś się z zimna i przyciskał podbródek do piersi.

Gdybym nie wiedział, co trzyma w ramionach, nigdy bym nie odgadł, że ten ciemny kształt to żywe a w dodatku dzikie zwierzę.

– Uwaga! – zawołałem.

Sam spojrzął do góry dokładnie w momencie, w którym wrzuciłem do jamy dwa pojemniki. Skrzywił się, kiedy woda eksplodowała fontanną, tak wysoko, że aż opryskała moją skórę zimnymi kroplami. Poczulem, jak zwierzę wewnątrz mnie szarpie się pod wpływem tego doznania, po czym niemal natychmiast zasypia. To było dziwne upomnienie, że ostatecznie i tak przemienię się w wilka – i to nie dlatego, że coś sobie wstrzyknę albo w wyniku innego eksperymentu. Koniec końców zmienię się, bo nic nie mogę na to poradzić.

– C-cole? – zapytał Sam z konsternacją.

– Stań na pojemnikach. Jeden może wystarczyć. Jest ciężka?

– N-nie.

– Podaś mi ją – wyjaśniłem.

Czekałem, podczas gdy on przesuwiał się sztywno w kierunku najbliższego pojemnika, który unosił się, podskakując, na powierzchni. Będzie musiał wepchnąć go pod wodę i odwrócić do góry dnem, żeby zrobić z niego stopień. Próbował się pochylić, żeby złapać krawędź, jednocześnie wciąż przytrzymując Grace. Jej

głowa oderwała się bezwładnie od jego piersi. Było jasne, że nie mógł manipulować pojemnikiem, nie wypuszczając wilczycy z ramion, a to oznaczałoby jej utopienie.

Sam stał tam, gapiąc się na pływający po powierzchni obiekt. Trwał w całkowitym bezruchu, z głową przekrzywioną na bok. Zgarbiony, z opuszczonymi ramionami. Victor nauczył mnie rozpoznawania takiej postawy, uniwersalnej w każdym języku. To oznaczało poddanie się.

Są takie chwile, kiedy tylko rozsiadasz się wygodnie i pozwalasz innym zagrać solówkę. Są też takie momenty, kiedy wstajesz i przejmujesz kontrolę nad sceną. Prawda była taka, że nigdy nie prezentowałem się zbyt dobrze, siedząc beczynnie.

- Uważaj! – zawołałem i zjechałem na tyłu do dziury, właściwie nie dając Samowi szansy, by odpowiednio zareagował. Przez chwilę moje ciało nie miało pojęcia, jak długo jeszcze będę leciał i kiedy muszę się czegoś złapać. W ostatniej chwili znalazłem oparcie dla stóp, tuż zanim moja głowa zanurzyła się pod powierzchnię płynnego błota. – Jasna cholera – sapnąłem, bo woda była wściekle lodowata.

Pokryta warstwą szlamu twarz Sama zdradzała niepewność, ale chyba zrozumiał, co zamierzam zrobić.

- L-lepiej się pośpiesz...
- Myślisz? – rzuciłem.

Ale Sam miał rację. Zimne palce wody szarpały mnie i dźgały, próbując obudzić we mnie wilka. Przewróciłem pierwsze pudło. Błoto zaczęło się wlewać do środka i wkrótce pojemnik zanurzył się. Starając się utrzymać w ryzach kolejne skręty żołądka, na wycucie obróciłem pudło i popchnąłem je głębiej w szlam, na samo dno. Sięgnąłem po kolejne, pozwoliłem mu napełnić się błotem, a potem umieściłem je na poprzednim. Złapałem unoszącą się na powierzchni pokrywkę i docisnąłem ją na gorze konstrukcji.

- T-trzymaj mocno – wydusił Sam. Zęby kłapały mu jak na kreskówce. – P-pozwól mi wziąć ja i...

Nie dokończył, ale nie musiał. Poprawił ją sobie w ramionach i wszedł na pierwszy pojemnik. Wyciągnąłem wolną rękę, żeby go asekurować. Jego ramię miało temperaturę błota. Grace na jego rękach wyglądała jak martwy pies. Sam zacisnął zęby i wspiął się na kolejny pojemnik. Oba zachwiały się niepewnie. Tylko ja powstrzymałem je przed zawaleniem się pod ciężarem człowieka i wilka.

- Szybko – wyszczałem.

Boże, ta woda była lodowata! Nie mogłem się do niej przyzwyczaić. Zamienię się w wilka... Nie, nie mogę się przemienić, nie teraz... Docisnąłem mocniej pojemniki. Sam stał na nich z Grace w objęciach, a jego ramiona zrównały się z krawędzią leja. Przymknął oczy na ułamek sekundy. Wyszeptał „przepraszam”, a potem wyrzucił ciało wilka na brzeg. Delikatnie, ale i tak widziałem, że go to zabolalo. Odwrócił się do mnie. Wciąż trząśł się z zimna.

Byłem tak bliski przemiany, że czułem smak wilka w ustach.

- Wychodź pierwszy – powiedział Sam, zaciskając zęby, żeby głos mu się nie rwał. – Nie chciałbym, żebyś się teraz przemienił.

Moje życie nie miało znaczenia, to nie ja za wszelką cenę musiałem wydostać się z tej dziury, ale Sam nie chciał słuchać żadnym argumentów. Zszedł z pojemników i ciężko wpadł do wody obok mnie. Moje trzewia były już splątane w supeł, który zaciskał się i rozluźniał.

- Wspinaj się – powtórzył chłopak.

Skóra na czubku mojej głowy falowała. Sam złapał mnie za szczękę, że aż zabolalo, kiedy jego palce wbiły mi się w żuchwę. Spojrzał mi prosto w oczy i poczułem, jak wilk wewnątrz mnie reaguje na wyzwanie, na ten milczący zew, który przydał siły jego poleceniu. Takiego Sama nie znałem.

- Wspinaj się! – rozkazał. – Ale już!

Nie miałem wyjścia. Wszedłem na pojemniki, choć moim ciałem szarpały drgawki, i wymacałem palcami krawędź leja. Z każdą sekundą czułem się bardziej człowiekiem, a mniej wilkiem, choć cuchnąłem zwierzęciem, śmierdziałem niemal-przemianą. Przez moment odpoczywałem, żeby zebrać siły, po czym podciągnąłem się i wypęzłem na brzeg. Nie był to najseksowniejszy z moich ruchów, ale i tak byłem pod wrażeniem, że mi się udało. Grace leżała na boku, nieruchomo, ale oddychała.

Tymczasem Sam wspiął się niepewnie na pierwszy pojemnik i zamarł na chwilę, żeby złapać równowagę.

- Ja... Za sekundę to wszystko runie – powiedział. – Mógłbyś...
- Jasne – przytaknąłem.

Mylił się. Miał mniej niż sekundę. Ledwie wspiął się na drugi pojemnik, kiedy konstrukcja zaczęła się pod nim przewracać. Wyciągnął ręce do góry, a ja niemal w tym samym momencie złapałem go za ramię. Pojemniki wpadły z powrotem do wody – plusk był bardziej stłumiony, niż bym się spodziewał – podczas gdy Sam machnął drugą ręką, żebym chwycił go również za nią. Zaparłem się o rozmokłą krawędź leja. Całe szczęście, że chłopak był takim chuderlakiem, bo inaczej obaj skończylibyśmy z powrotem w dole.

A potem było już po wszystkim. Opierałem się na rękach, łapiąc oddech, od stóp do głów pokryty śliskim błotem. Sam siedział obok Grace, zaciskając i rozwierając pięści, patrząc na glinę pokrywającą jego dłonie. Wilczyca leżała spokojnie obok niego, jej oddech był urywany i szybki.

- Nie musiałeś tam schodzić – zauważył.
- A właśnie że musiałem – odpowiedziałem.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że na mnie patrzy. W cieniu lasu jego oczy wyglądały bardzo blado. Były tak uderzająco wilcze. Przypomniałem sobie, jak złapał mnie za żuchwę i nakazał się wspinać, odwołując się do moich wilczych instynktów. Ostatnim razem, gdy ktoś patrzył mi w twarz w ten sposób, nakazał mi słuchać i skupić się. To było wtedy, gdy przemieniłem się po raz pierwszy. Tamten głos należał do Geoffreya Becka.

Sam wyciągnął dłoń i dotknął boku Grace. Zobaczyłem, jak jego palce przesuwają się po jej żebrach ukrytych pod futrem.

Jest taki jeden wiersz: *Wie Lange braucht Man jeden Tag, bis Man sich kennt**. – Wciąż dotykał wilczych żeber, dopóki wilk nie uniósł głowy z niepokojem. Wtedy dopiero położył dłonie na swoich kolanach. – To znaczy: „Ile czasu potrzeba nam, każdego dnia, by poznać siebie nawzajem”. Nie byłem całkiem fair wobec ciebie, Cole.

Powiedziałem mu, że to nie miało znaczenia. Chociaż tak naprawdę miało.

- Zachowaj swoją szwabską poezję dla Grace – rzuciłem po chwili. – Przyprawiasz mnie o dreszcze tymi dziwactwami.
- Mówię serio – upierał się chłopak.
- Ja też – odparłem, nie patrząc na niego. – Nawet po wyleczeniu jesteś niewiarygodnie anormalny.

Sam się nie zaśmiał.

- Przyjmij przeprosiny, Cole, a obiecuję, że więcej o tym nie wspomnę.
- W porządku – zgodziłem się, wstałem i rzuciłem mu ręcznik. – Przeprosiny przyjęte. Na twoją obronę dodam, że tak naprawdę nie zasługiwałem na to, żeby traktować mnie fair.

Sam ostrożnie otulił ciało wilczycy ręcznikiem. Wzdrygnęła się pod jego dotykiem, ale była zbyt wyczerpana, żeby zareagować.

* Sonja Schöler, fragment wiersza „Für W.”.

- Nie tak zostałem wychowany – odezwał się w końcu. – Ludzie nie muszą sobie zasłużyć na dobroć. Mogą zasłużyć najwyżej na okrucieństwo.

Nagle pomyślałem o tym, że ta rozmowa mogłaby się potoczyć zupełnie inaczej, gdyby była tu Isabel. Ona nie zgodziłaby się z takim poglądem. W jej przypadku pojęcia dobroci i okrucieństwa czasami oznaczały to samo.

- Tak czy inaczej... - podjął Sam, ale nie skończył.

Podniósł ciało Grace, tak ciasno owinięte ręcznikiem, że nie mogłaby się ruszyć, nawet gdyby odzyskała siły, i skierował się w stronę domu.

Zamiast podążyć za nim, podszedłem z powrotem do krawędzi leja i zajrzałem do środka. Dwa pojemniki wciąż unosiły się w błocie, tak pokryte brudnym szlamem, że nie dało się dojrzeć ich oryginalnego koloru. Nic nie zdradzało głębokości jamy.

Splunąłem do niej. Błoto było tak gęste, że nie ustąpiło nawet odrobinę pod moją plwociną. To było piekło, umrzeć w takim miejscu. Dotarło do mnie, że wszystkie sposoby umierania, których próbowałem, były proste. Tylko że wtedy tak mi się nie wydawało – gdy leżałem na podłodze i powtarzałem „dośćdośćdośćpozwólcimiodziejść” nieskierowane do nikogo konkretnego. Ale nigdy tak naprawdę nie zastanawiałem się nad tym, że śmierć we własnym ciele może stanowić przywilej.